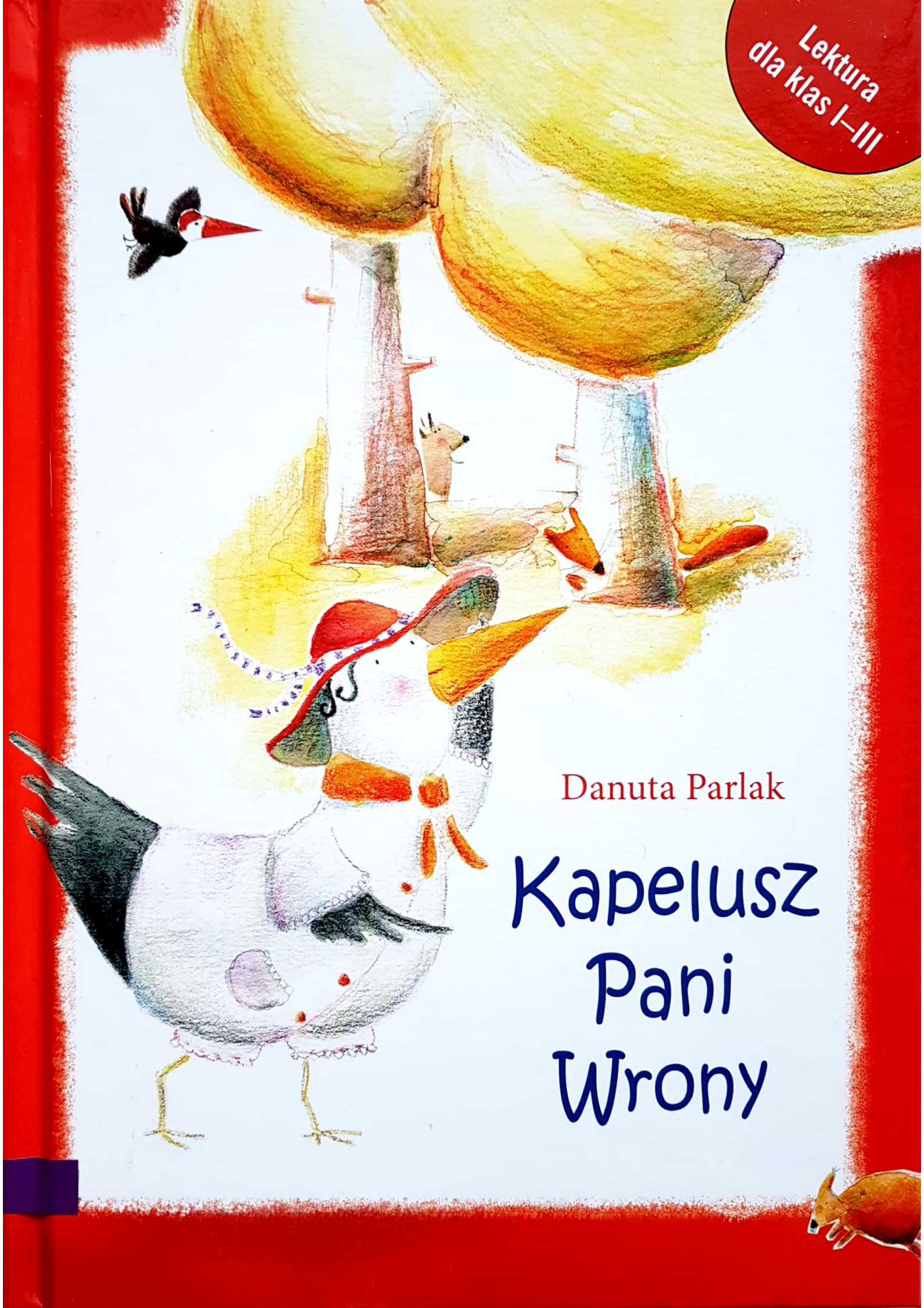


Lektura
dla klas I–III



Danuta Parlak

Kapelusz Pani Wrony





Danuta Parlak

Kapelusz
Pani
Wrony

Danuta Parlak

Kapelusz Pani Wrony

ilustrowała Iwona Cała



bis

Warszawa 2018

Copyright © Danuta Parlak 2009

Copyright © Wydawnictwo BIS 2009, 2017

ISBN 978-83-7551-530-5

Wydanie II

Wydawnictwo BIS
ul. Łędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22 877-27-05, 22 877-40-33; fax 22 837-10-84
e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl



Kapelusz Pani Wrony

Wiewiórka twierdziła potem, że już od rana miała złe przeczucia. „Wiedziałam, wiedziałam, że coś się stanie. I co? Spełniło się co do joty” – opowiadała z przejęciem. Dzieciół, który akurat tego dnia był w fatalnym nastroju i wszystko wszystkim miał za złe, skrzywił się tylko i powiedział, że Wiewiórka zawsze ma złe przeczucia.

Nie jest zresztą istotne, czy Wiewiórka miała złe przeczucia tego dnia, czy nie, bo i tak wszyscy od razu wiedzieli, że wydarzyło się coś nadzwyczajnego. **Absolutnie Wyjątkowego!** Na piątkowe spotkanie pod dębem Pani Wrona nie dość, że przybyła z opóźnieniem, to w dodatku bez Kapelusza. **Bez Kapelusza!** Pani Wrona bez Kapelusza! Niebывałe! Pani Wrona nigdy nie pojawiała się publicznie bez Kapelusza. Nigdy! Miała po temu istotne powody. Jej Kapelusz wzbudzał powszechny podziw. A może nawet zazdrość.

Lisica, miejscowa elegantka, która nie tylko na specjalne okazje, ale i na co dzień nosiła najwytworniejsze futra



w okolicy, na widok Pani Wrony w Kapeluszu wysunęła pyszczek i aż zmrużyła oczy z zachwytu. Potem zawyrokowała: „Paryski szyk! Prawdziwy paryski szyk!”. Od tej chwili Pani Wrona praktycznie nie rozstawała się ze swoim Kapeluszem. Nawet na proszonej herbatce u Sroki nie mogła się bez niego obejść. Nikt nie miał jej tego za złe, bowiem, jak mawiała Sroka: „Zawsze miło jest gościć u siebie Panią Wronę i jej Kapelusza”.

Fotografię Kapelusza (i Pani Wrony przy okazji) zamieścił lokalny dziennik w rubryce „Cudze chwalice, swęgo nie znacie”, gdzie pokazywano wszelkie

zasługujące na uwagę osobliwości i atrakcje. Bezspornie Pani Wrona i jej Kapelusze były miejscową atrakcją. I już nikt nie umiał sobie wyobrazić Pani Wrony bez jej słynnego Kapelusza.

A jednak! W ten piątek Pani Wrona zjawiała się BEZ Kapelusza. Zjawiała się, a właściwie wpadła na spotkanie z rozwichrzonymi piórkami na głowie, z rozwianymi skrzydłami, zadyszana i wyraźnie wzburzona. Zdołała tylko zawołać:

– **Urowadzony! Porwany! Skradziony!**

Po czym opadła na fotel, usłużnie podstawiony w ostatniej chwili przez uprzejmego Borsuka. Zaczepnęła tchu, przełknęła trzy krople wody ze szklanki, którą podał jej uprzejmie Borsuk, i dodała tonem wyjaśnienia:

– Kapelusze! Mój Kapelusze!

I na nowo podniosła lament:

– **Urowadzony! Porwany! Skradziony!**

Pod dębem zapanowało poruszenie. Niektórzy próbowali uspokajać Panią Wronę, inni dowiedzieć się od niej czegoś więcej na temat zniknięcia Kapelusza, a przy tym wszyscy podekscytowani wymieniali między sobą głośne uwagi. Od czasu wielkiej awantury, gdy Sowa oskarżyła Łasicę o oszukiwanie przy grze w remika, nic równie sensacyjnego nie zdarzyło się w okolicy. W całym tym zgiełku i zamieszaniu, od czasu do czasu przerywanym dramatycznym okrzykiem Pani Wrony:



„Urowadzony! Porwany! Skradziony!”, ktoś przytomnie zauważył, że trzeba wezwać Barnabę.

Agencja Detektywistyczna „Barnaba i Spółka” zawsze sprawdzała się, gdy ktoś wpadł w tarapaty i potrzebował pomocy. Nie da się ukryć, że Pani Wrona była w tarapatach. A przynajmniej – jak można się domyślać – w tarapatach był jej Kapelusz.

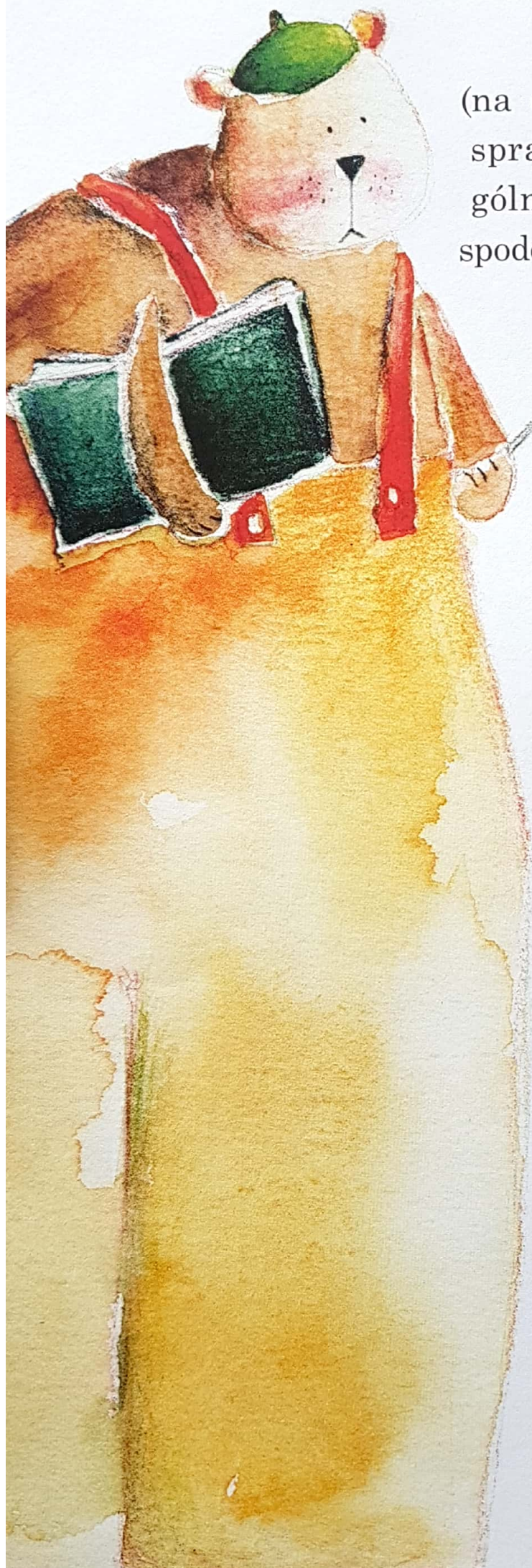
Niedźwiedź Barnaba pojawił się jak zwykle w zielonym bereciku zawadiacko nasuniętym na czoło i z wielkim czarnym notesem pod pachą – jak to miał w zwyczaju, gdy występował w imieniu Agencji „Barnaba i Spółka”. (W rzeczywistości Barnaba sam prowadził Agencję, a Spółka figurowała tylko w nazwie. „Tak lepiej wygląda na rachunkach – mawiał Barnaba – no i dodaje powagi firmie”).

Barnaba machinalnie przesunął berecik na lewe ucho i bez zwłoki przystąpił do działania. Jednak pomimo niemałego doświadczenia w zbieraniu informacji od Pani Wrony dowiedział się niewiele ponad to, co już mu opowiedziano.

– Kapelusz był, a potem już go nie było – twierdziła Pani Wrona. I powtarzała na nowo: – Urowadzony! Porwany! Skradziony!

Barnaba westchnął i zanotował w swoim notesie na czerwono:

KAPELU SZ PANI WRONY



(na czerwono zawsze notował sprawy wymagające Szczególonego Postępowania). Pod spodem dopisał:

UPROWADZONY?
PORWANY?
SKRADZIONY?

Na wszelki wypadek podkreślił wszystkie trzy hipotezy, po czym zabrał się do pracy, dokonując w obecności licznie zgromadzonych gapiów oględzin miejsca przestępstwa. Oględziny były nadzwyczaj dokładne, bo Barnaba był detektywem znanym ze swej przysłowiowej skrupulatności. Nic nie mogło umknąć jego wnikliwemu spojrzeniu.

– Żadnych podejrzanych śladów łap ani pazurów. Nawet stóp. Tym samym

udział czynnika ludzkiego można wykluczyć – referował sumiennie Barnaba.

Przerwał na chwilę, po czym obrzucił Panią Wronę szczególnym spojrzeniem.

– W okolicy Pani gniazda w ogóle jest podejrzenie schludnie – powiedział grzecznie, ale ze słyszalnym tonem nagany w głosie. – Na przyszłość radziłbym nie odkurzać codziennie. To utrudnia zbieranie dowodów. W każdym razie ani śladu po Kapeluszu – podsumował stanowczo Barnaba. – Zupełnie jakby go nie było.

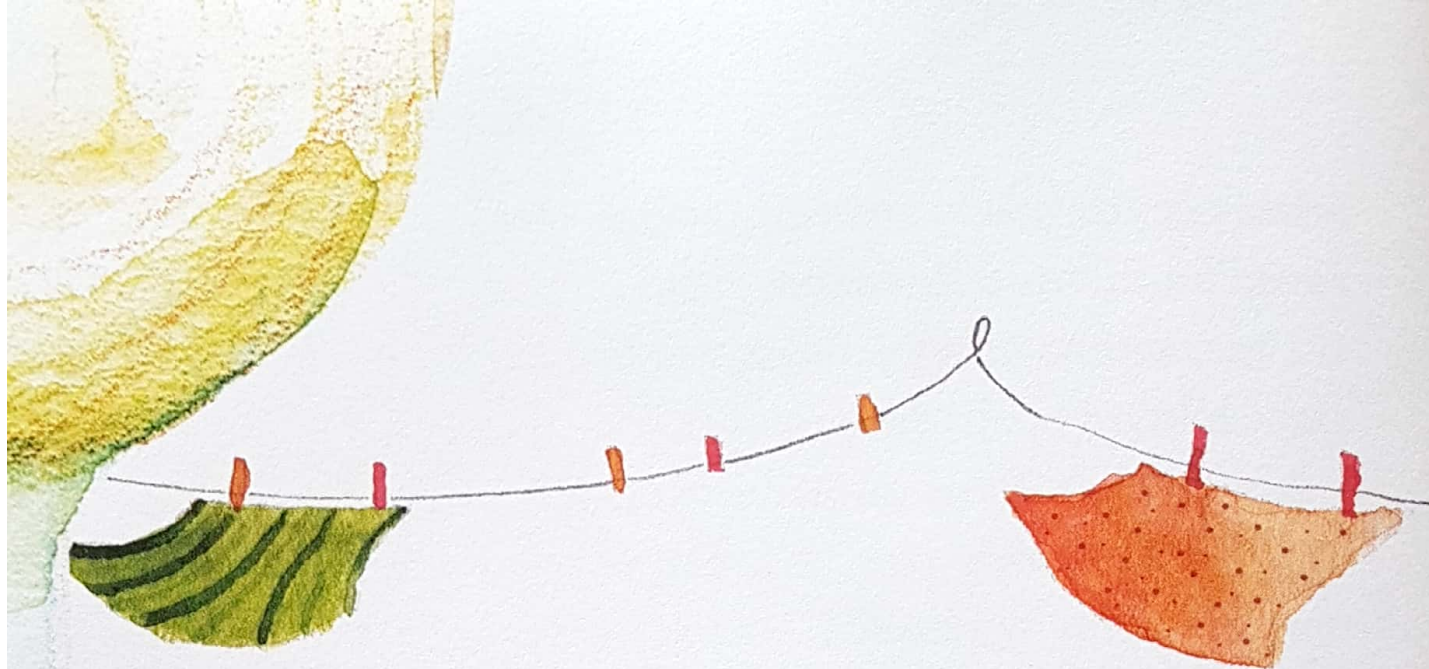
– Mówiłam – wydała dramatyczny jęk Pani Wrona. – Był, a potem już go nie było.

– Przecież nie rozpląnął się w powietrzu – sarkastycznie zauważył Dziecioł, który akurat tego dnia był w fatalnym nastroju i wszystko wszystkim miał za złe.

– Może porwał go Wiatr? – ktoś zasugerował rozwiązanie tajemniczego zniknięcia Kapelusza.

Jednak Wiatr, przesłuchany na okoliczność uprowadzenia Kapelusza, stanowczo zaprzeczył, jakoby miał z tym coś wspólnego.

– Zawsze wszystko na mnie! – oburzył się. – O wszystko się mnie oskarża. O opadające liście i o to, że szyszka komuś spadła na głowę. Źle, gdy wieję z południa, źle, gdy z zachodu! W ogóle wszystko na mnie! A jak ktoś nie umie upilnować prania, to niech sobie kupi klamerki do bielizny. – Spojrzał wymownie



na Ziębę, która od rana biegała po okolicy i szukała fatalaszków, skarżąc się wszystkim, że porozrzucił je Wiatr. – A wasz kapelusz to mi do niczego niepotrzebny! – Wzburzony Wiatr zakończył swoją przemowę, okręcił się na pięcie, zawirował gwałtownie i tyle go widziano.

– No, cóż – powiedział Barnaba, wciskając z powrotem na łeb zielony berecik, który zwiął mu Wiatr – pozostaje tylko jedno wyjście. Trzeba wyznaczyć nagrodę za odnalezienie Kapelusza. – Spojrzał znacząco na Panią Wronę.

– Wysoką nagrodę – chlipnęła Pani Wrona. – Dam nagrodę za każdą informację o moim Kapeluszu – obiecała uroczyście, ocierając łzy.

Wprawdzie Dziecioł, który akurat tego dnia był w fatalnym nastroju i wszystko wszystkim miał za złe, mruknął sceptycznie, że na nagrody i cudzą wdzięczność nie ma co w życiu liczyć, ale nie ostudziło to zapału innych. Barnaba miał rację – informacja



o nagrodzie (**Wysokiej Nagrodzie!**) zmotywowała wszystkich do energicznych działań. Chodziły plotki, że nawet Dziecioł zaangażował się w poszukiwania. Trudno powiedzieć, ile w tym prawdy. Faktem jest natomiast, że odwiedził Biuro Turystyczne prowadzone na pobliskiej łące przez rodzinę Bocianów i wypytywał szczegółowo o ceny wycieczek do ciepłych krajów. Zupełnie jakby miał nadzieję na jakąś dodatkową sumkę, którą mógłby przeznaczyć na specjalne atrakcje.

Masowa akcja poszukiwania Kapelusza nie przyniosła jednak spodziewanych rezultatów. Pani Wrona była niepokieszona. Całymi dniami przesiadywała w domu i na zmianę to wzdychała, to pochlipywała. Życie towarzyskie w lesie podupadło. Bez Pani Wrony i jej Kapelusza żadna impreza nie mogła być udana. Nawet dąb zmarkotniał, bo bez piątkowych spotkań było pusto i smutno. Trudno prowadzić błyskotliwe rozmowy z żołądziami.

Każdy, jak mógł, starał się poprawić humor Pani Wronie. Lisica sobie tylko znanymi sposobami zdobyła katalog mody na nadchodzący sezon, z najnowszymi fasonami kapeluszy. Niestety, Pani Wrona na widok katalogu pełnego kapeluszy (i to jakich kapeluszy!) westchnęła tylko żałośnie i jęknęła swoje: „Uprowadzony! Porwany! Skradziony!”.

Mimo to do Pani Wrony zaglądał, kto mógł. Nawet mała leśna mysz, Bronisława, wstąpiła do niej z nowinami. Opowiadała coś o nowej rodzinie w lesie, o tym, że natknęła się na nich przypadkiem... Pani Wrona, pogrążona we własnych myślach, nie słuchała zbyt uważnie.

– Taak, taak, oczywiście – mruknęła w końcu.
– Miło, że wpadłaś z wizytą...

Bronisława była nie tylko nieduża, ale też trochę nieśmiała. Łatwo było wprowadzić ją w zakłopotanie. Teraz też się zmieszała. „Może mówiłam za cicho – robiła sobie wyrzuty. – Może Pani Wrona nie dosłyszała, co powiedziałam”. Jednak nie miała odwagi wrócić i opowiedzieć raz jeszcze swojej historii. Dobry kwadrans przestępowała z łapki na łapkę pod gniazdem Pani Wrony, pełna rozterek, co robić. W końcu postanowiła udać się do Barnaby. Niech on zdecyduje, co dalej.

Barnaba popijał właśnie przedpołudniowe espresso i pojadał miód z orzechami, gdy zjawiała się Bronisława.

– Do Agencji Detektywistycznej „Barnaba i Spółka” – zapowiedziała się cichym wprawdzie, acz stanowczym tonem.

Barnaba przełknął ostatni łyk smolistej kawy i z żalem spojrział na miseczkę, całkiem przyjemnie jeszcze wypełnioną słodkim przysmakiem. Obowiązki jednak wzywały. Przywdział szybko zielony berecik, rozłożył z powagą czarny notes i spojrział wyczekująco na gościa.

Bronisława trochę się spłoszyła. Prawdę mówiąc, rozmawiała z Barnabą może dwa razy w życiu, i to zawsze z niedźwiedziem Barnabą po prostu. Musiała przyznać, że Barnaba jako Agencja Detektywistyczna „Barnaba i Spółka” budził respekt. Przemogła jednak onieśmienie, w końcu przyszła tu z ważną sprawą. I nieco drżącym z początku, potem pewniejszym już głosem zreferowała Barnabie to, co starała się przekazać wcześniej Pani Wronie. Że do



Lasu przybyła nowa rodzina, że chyba byli w pilnej potrzebie i w związku z tym Kapelusze Pani Wrony...

Barnaba pojął w jednej chwili, że oto nastąpił przełomowy moment śledztwa. Z trzaskiem zamknął notes i poderwał się na równe nogi.

– Bronisławo, prowadź – zakomenderował energicznie.

W ten oto sposób w czwartkowe przedpołudnie można było zaobserwować w lesie malowniczy pochód. Leśna mysz, Bronisława, postępowała na przodzie. Za

nią Agencja Detektywistyczna „Barnaba i Spół-

ka” wraz ze swą klientką, pochlipującą nieustannie Panią Wroną. Za nimi Wiewiór-

ka, która twierdziła, że już od

rana miała przeczucie, że coś ważnego się wydarzy. Potem szedł Borsuk z solami trzeźwiącymi, na wypadek gdyby Pani Wrona zasła-
bla, oraz Lisica,





jak zwykle w eleganckim futrze, i Zięba, i cztery Jeże, zaprzyjaźnione z Panią Wroną, i inni mieszkańcy Lasu. Nawet Dziecioł, który akurat tego dnia był w fatalnym nastroju i wszystko wszystkim miał za złe, dołączył do nich, chociaż nie omieszkał zauważyć, że niespodziewane spacery po lesie kończą się zwykle niespodziewanym katarem.

– To tutaj. – Bronisława zatrzymała się przed nieprzystępnie wyglądającymi zaroślami, zręcznie wsunęła się w niemal niewidoczną szparkę i zniknęła im z oczu. Barnaba, gotów na wszystko, gdy chodzi o dobro śledztwa i odkrycie prawdy, zdecydowanym ruchem łapy odgarnął splątany gąszcz...

Rzeczywiście, to była jakaś nowa rodzina. Nikt ich nie znał. Co więcej, chyba nigdy wcześniej nie było w okolicy takiego gatunku. Jednak wyglądali na zadomowionych. Cztery małe, puchate łebki podniosły wrzask na widok przybyszy i otwały żarłocznie dziobki, wyraźnie domagając się pożywienia.

– Witam, witam sąsiadów – zaćwierkała przyjaźnie Pani Ptaszkowa. – Nie zdążyliśmy się przedstawić, ale w pośpiechu zakładaliśmy gniazdo, no, a odkąd małe się wykluły, jest tyle pracy...

Małe na szczęście ucichły, bo właśnie zjawił się Pan Ptaszek i przystąpił do rozdzielania jedzenia po kolei do każdego z czterech szeroko otwartych dziobków.





Tymczasem przybyli w absolutnej konsternacji wpatrywali się w gniazdo Państwa Ptasek. Kомуś, kto nigdy przedtem nie widział Kapelusza Pani Wrony, raczej trudno byłoby rozpoznać go w gnieździe, które zajmowali Państwo Ptaszki. Zdźbła trawy, małe gałązki, kępki mchu poutykane gęsto w kapelusz świadczyły, że sporo pracy włożono w przystosowanie go do nowej funkcji. A jednak, mimo sfatygowanego kształtu i zszarzałej barwy, pozostały w nim resztki dawnej świetności. Z pewnością było to najbardziej wytworne gniazdo w okolicy! Doprawdy, imponujące.

Wszyscy wpatrywali się w gniazdo i nikt nie miał odwagi podnieść wzroku na Panią Wronę. Wiewiórka pomyślała, że nie bez powodu miała od rana złe przeczucia. Lisica westchnęła długo i przeciągle. „Co za profanacja – jęknęła w duchu. – Taki wspinały Kapelusz w takim stanie...” Przedłużające się milczenie przerwała w końcu niespodziewanie Pani Wrona.



– Taaak – powiedziała nieco schrypniętym głosem, jakby mówiła ze ściśniętym gardłem. Odchrząknęła.

– Taak – odezwała się już pewniejszym tonem. – Rzeczywiście, bardzo miłe gniazdko państwo sobie uwili. Bardzo... hm... szykowne. A jak małe? Zdrowo rosna? – zapytała tonem miłej, towarzyskiej pogawędki.

– Ach, rosna jak na drożdżach – rozszczebiotała się Pani Ptaszkowa, pełna macierzyńskiej dumy. – A jakie mają apetyty! Ledwie możemy nadażyć z karmieniem. – Usiłowała przekrzyczeć potomstwo, które na nowo podniosło jazgot, bo jedzenie przyniesione przez Pana Ptaszka już się skończyło, a apetyty piskląt pozostawały nienasycone.

Mieszkańcy Lasu z podziwem i dumą spoglądali na Panią Wronę. Nawet Dziecioł, który akurat tego dnia był w fatalnym nastroju i wszystko wszystkim miał za złe, popatrzył na nią z czymś w rodzaju uznania. „Umiała się znaleźć... w takiej sytuacji... No, no, kto by się spodziewał”.

Jednak tego wieczoru Pani Wrona była w nieco melancholijnym nastroju. Z czułością głaskała skrzydłem puste pudło po Kapeluszu i wzdychała cichutko. Cichutko i bardzo żałośnie.




Za to wraz z początkiem nowego sezonu Pani Wrona pojawiła się w zupełnie nowym kapeluszu. Ach, cóż to był za kapelusz! Marzenie każdej elegantki! Lisica spojrzała i nic nie powiedziała. Otworzyła tylko szeroko pyszczek i tak już pozostała – oniemiała z zachwyty i zazdrości.

Ale to jeszcze nic w porównaniu z wrażeniem, jakie wywarła Bronisława. Widok leśnej myszy w kapeluszu prosto z Paryża, obstalowanym na specjalne zamówienie Pani Wrony, nikogo nie pozostawił obojętnym. Dzieciół, który akurat tego dnia był w fatalnym nastroju i wszystko wszystkim miał za złe, omal nie spadł z gałęzi, widząc Bronisławę w jej nowym (i pierwszym w życiu) kapeluszu.

– Fiuuu, fiuu! – Odprowadził ją przeciągłym spojrzeniem. – Fiuu, fiuu, ma klasę.





Niedźwiedź Barnaba, spotkawszy na
ścieżce Bronisławę paradującą z dumnie
uniesionym łebkiem przyozdobionym ka-
peluszem, z grzecznym pozdrowieniem uchylił
swego zielonego berecika, by czym prędzej schować
go za siebie w geście pełnym zawstydzenia.

– Chyba najwyższa pora wymienić go na nowszy
fason – wymruczał do siebie.

Wystraszek

Wystraszek siedział pod liściem paproci i trząsał się tak, że cała paproć trzęsła się razem z nim. Wiewiórki zaraz zauważyły dziwną roślinę: trzęsie się jak osika, a wygląda jak zwyczajna paproć! Przystanąły. Raz-dwa wypatrzyły Wystraszka, choć jego zielone, nastroszone futerko prawie nie odróżniało się od drobnych listków paproci.

– Czemu się tak trzęsiesz? – zapytały Wiewiórki.
– Zimno ci?

– W...w...wcale... w...wcale się nie b...b...boję – wyjąkał Wystraszek. – Wcale – zapewnił i zatrzasał się jeszcze bardziej.

– Aha. – Wiewiórki pokiwały głowami i popatrzyły na siebie porozumiewawczo. Od razu widać, że ten mały się boi. Boi się, ale udaje, że się nie boi, choć aż się trzęsie ze strachu. Spodobał się Wiewiórkom Wystraszek. Mały, ale z charakterem.

– Co tak będziesz sam siedział – powiedziały.
– Chodź z nami – zaproponowały.



Wystraszek spoglądał trochę niepewnie, jakby zakoczony ich propozycją.

– Pokażemy ci Las – zachęcały go Wiewiórki. – No, chodź...

I ruszyły przed siebie, energicznie jak zwykle, ale trochę wolniej niż zazwyczaj – żeby Wystraszek mógł za nimi nadążyć. Jedna z nich odwróciła się ukradkiem.

– Idzie – szepnęła do swojej towarzyszki.

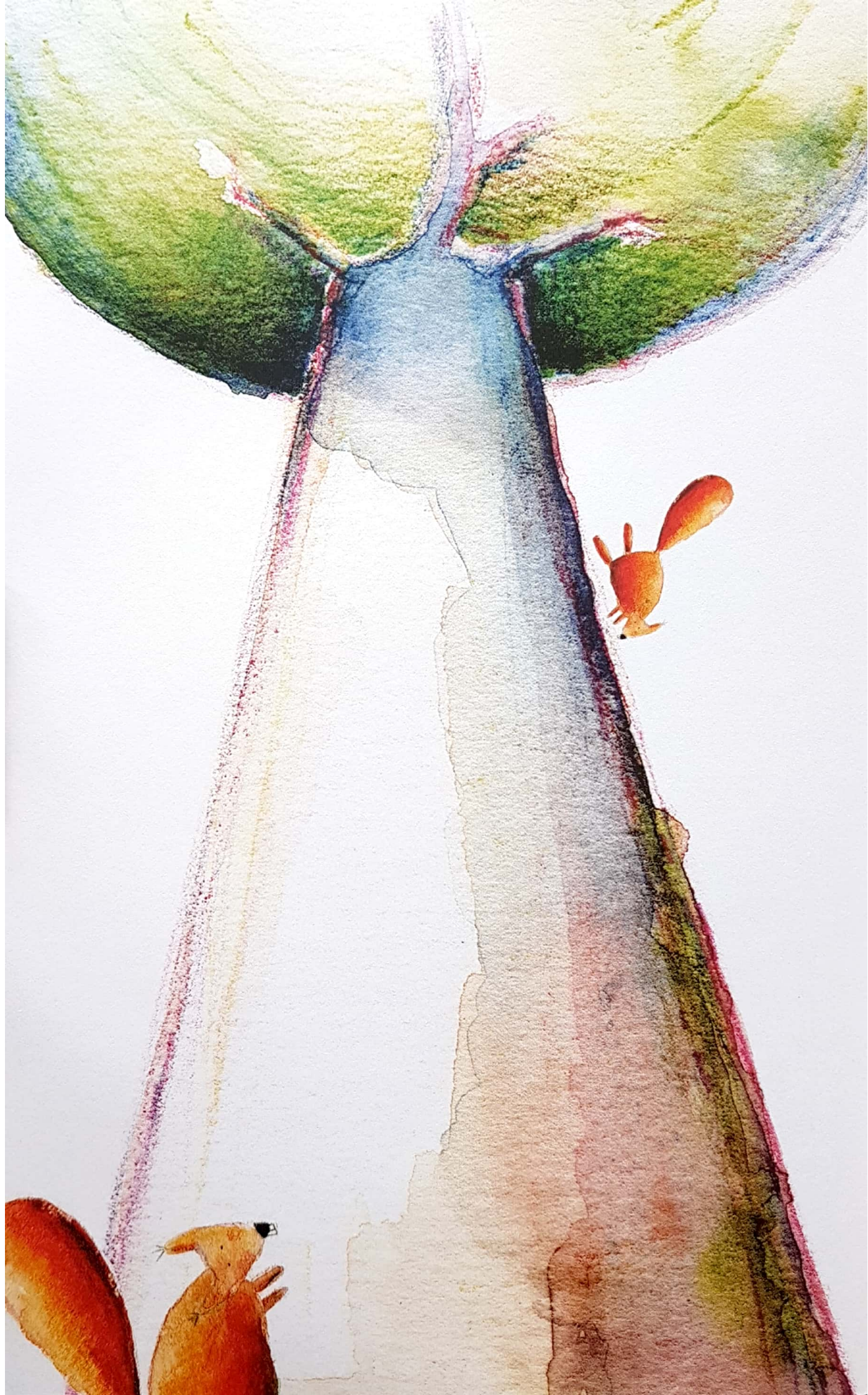
Wystraszek szedł, choć trzymał się w bezpiecznej odległości za Wiewiórkami. Rzucił przy tym czujne spojrzenia na boki, by w razie zagrożenia móc się w każdej chwili ukryć pod najbliższym krzakiem. Przebiegający nieopodal Zając zatrzymał się, stanął słupka i z zaciekawieniem spojrzał na Wystraszka. Wystraszek zadrżał, ale nim zdążył się schować, trzasnęła jakaś sucha gałązka nadepnięta przez Wiewiórki i spłoszony szarak umknął w zarośla.

– Tu leśne maliny... – Wiewiórki czyniły honory domu. – Tu brzozowy zagajnik, tam warto chodzić na grzyby... Na prawo mrowisko – objaśniały dalej. – A tu – przystały – tu jest nasz dąb. – Wskazały z dumą.

Dąb był potężny. Wystraszek zadarł głowę i patrzył na niego z mieszaniną podziwu i szacunku, tak jak należało.

– P...p...piękny – odważył się wyszeptać.

Bardzo się ta odpowiedź spodobała Wiewiórkom.



– A tam jeszcze... – kontynuowały zadowolone
– tam jest...

– A to kto? – Rozpędzona gromadka Jeży ledwie wyhamowała przed Wiewiórkami i ich towarzyszem. Jeże z ciekawskimi minami obstąpiły Wystraszka. Wystraszek aż się skulił pod lustrującymi spojrzeniami.

– Czemu ten mały tak się trzęsie? Ale strachliwy!

– Czemu się nie odzywa? – padały ze wszystkich stron uwagi.

– Nikt cię tu nie zje! Hej, strachajło!

– N...n...nie S...S...Strachajło, tylko Wystraszek – odezwał się Wystraszek, dotknięty do żywego uwagami Jeży.

– Co za różnica. – Jeże lekceważąco machnęły łapkami. Wystraszek był mały i bojaźliwy i Jeże wcale nie zamierzały się nim przejmować.

Po spotkaniu z Jeżami Wystraszek gdzieś się zasztył. Wiewiórki nawet zaglądały pod paproć rosnącą na polance, ale tam Wystraszka też nie znalazły. Wystraszek przyczał się koło dzikich malin. Obserwował borsuka Eustachego. Eustachy, który prowadził nocny tryb życia, całe dni przesypiał albo leniwie wylegiwał się w co bardziej zacisznych miejscach Lasu. Kiedy zauważył Wystraszka, uśmiechnął się tylko.





Zerwał z krzaka dwie dojrzałe maliny i podsunął mu zapraszająco jedną. I leżał sobie dalej, jakby nigdy nic. Jakby wcale się nie dziwił, że Wystraszek siedzi pod krzakiem malin i się trzęsie.

Malina była słodka i soczysta, a Eustachy ani nie był tak energiczny jak Wiewiórki, ani nie robił głupich uwag jak Jeże. Ośmielony Wystraszek otarł pyszczek i już, już miał zagadnąć Eustachego, kiedy wpadły z impetem Jeże i zaczęły coś głośno i hałaśliwie opowiadać. Wystraszek szybko wycofał się w bezpieczne miejsce. Bezpieczne oznaczało – bez Jeży.

Wystraszek, jak mógł, unikał Jeży, ale było to trudne. Jeże pojawiały się znienacka. Nagle, ni stąd, ni zowąd, wyrastały tuż przed nim. Albo zagadywały go niespodziewanie. Wystraszek nie mógł się do tego przyzwyczaić. Za każdym razem podskakiwał przerażony i – choć bardzo tego nie chciał – trząsnął się jak galareta. A Jezom sprawiało to jakąś dziwną satysfakcję.

Toteż nic dziwnego, że po kolejnym spotkaniu z Jeżami Wystraszek znów się gdzieś zaszył. I nic nie słyszał. A wieści, które wszyscy wokoło sobie przekazywali, były niepokojące. Wręcz przerażające. Straszny Stwór grasuje w okolicy! Jest **Zły, Groźny i Niebezpieczny!** Lada chwila może się pojawić w Lesie. Lepiej się przed nim ukryć. Każdy, kto mógł, szukał schronienia w jakiejś dziurce albo norce. Wiewiórki przycupnęły w dziupli.

Lis Mateusz wraz z rodziną zabarykadował się w norze. Nawet Niedźwiedź gdzieś się zaszył. Las prawie zupełnie opustoszał.

– Słyszałeś? – wyszeptała mała dżdżownica Magda do Wystraszka, który siedział pod paprocią. – Słyszałeś? Straszny Stwór grasuje w okolicy...

Wystraszek tylko wzruszył ramionami. Co mu tam Straszny Stwór... Miał większe zmartwienie. Jeże śmieją się z niego, że taki strachliwy, że się ciągle trzęsie... Wcisnął się głębiej pod rozłożystą paproć, cały zaprzątnięty swoim problemem.

Mała Magda westchnęła. Nikt nie chciał z nią rozmawiać. A ona naprawdę się bała. Co będzie, jak Straszny Stwór naprawdę przyjdzie do Lasu? Przyjdzie i spotka właśnie ją? Nie, nie, lepiej tak nie myśleć... Lepiej się schować, tak jak wszyscy – postanowiła Magda. Ale zanim zdążyła znaleźć kryjówkę, w Lesie zadudniły nagle **straszne kroki i straszny głos** zagrzmiał tuż nad Magdą.

– Nieduża jesteś. Ledwie cię widać w tej trawie...

Mała Magda skuliła się, jakby chciała się stać jeszcze mniejsza.

– Chyba wcale nie rośniesz... – dodał z fałszywą troską **straszny głos**. – Co ty, drożdzy nie jadasz? – zachichotał, najwyraźniej zadowolony ze swojego dowcipu. – Nieduża i chudziutka – z wyraźnym już niesmakiem powiedział Straszny Stwór, ponownie lustrując



Magdę. – Nawet na zakąskę za mała – wybrzydzał.
– No, ale trudno... Strasznie jestem głodny, więc i tak cię zjem. – I wielki straszny paluch niezgrabnie wysunął się w kierunku zastygłej z przerażenia Magdy.

– Zostaw ją! – krzyknął Wystraszek. – Zostaw ją, Tłusty Paluchu! I to już!! I wynoś się stąd! No, już! Wynocha z Lasu! – krzyczał zaperzony. – Wynocha! Wy... – I nagle urwał przerażony.

To przecież Straszny Stwór! Straszny Stwór tu stoi, a on, Wystraszek, na niego krzyczy... – uświadomił sobie Wystraszek i zatrzęsł się cały.

Straszny paluch drgnął. Mała Magda, korzystając z jego zaskoczenia, śmignęła w trawę.

– A to kto? – zdziwił się Straszny Stwór. – Czy to nie mały Wystraszek? – Groźny cień padł na trawę i paproć, gdy Straszny Stwór pochylił się, żeby się upewnić, czy dobrze widzi.

– Coś takiego – zdziwił się szczerze. – Wystraszek mi grozi, no, coś takiego... – Aż głową pokręcił ze zdumienia.

– Wy...wy...wynoś się! – powtórzył Wystraszek urywanym głosem. Starał się, żeby brzmiało to groźnie, ale dobrze wiedział, że takiego trzęsącego się głosu nawet on sam by się nie wystraszył.

– No, patrzcie, patrzcie tylko... – dziwił się Straszny Stwór. – Wystraszek każe mi się wynosić! Oj, bo się przestraszę – zarechotał nagle. – Oj, bo się przestraszę i ucieknę w te pędy... – rechotał głośno. – Wystraszka się przestraszę... cha, cha, cha.

– Wy...wy...wynoś się – wyszeptał resztkami sił Wystraszek – i... i... i to j...u...j...u...już. – I z bezradności, że on taki mały i słaby, a Straszny Stwór taki wielki i groźny, z tej swojej bezradności aż zatupał.

– Wystraszek na mnie tupie! – zaśmiewał się Straszny Stwór. – Oj, ale mi strachu napędził! Tak się boję, że już nogi za pas biorę, CHE, CHE, CHE – podrygiwało straszne cielsko w niepowstrzymanym rechocie. – CHE, CHE, CHE.

Rechotał tak strasznie, aż musiał sobie wielki, trzęsący się brzuch strasznymi łapskami obejmować, jakby w obawie, że zaraz pęknie. Dudnił jego straszny śmiech, aż wszyscy w okolicy uszy sobie zasłaniali. Trząśnięty ze strachu Wystraszek, słysząc rechot Straszego Stwora, i trzęsła się mała Magda, schowana gdzieś w trawie. Razem z nimi trzęsły się paproć i krzaki malin, i brzozowy zagajnik, i chyba nawet potężny dąb – trząśnięty się cały Las.

Wszyscy trzęśli się ze strachu, a Straszny Stwór trząśnięty się ze śmiechu. I trzęśliby się tak pewnie jeszcze długo, ale nagle rozległ się straszny huk. Tak straszny, aż Las wstrzymał oddech na chwilę. A potem zapadła zdumiewająca cisza. Nawet rechotu Straszego Stwora nie było słychać. Nie było słychać, bo Straszny Stwór pękł ze śmiechu!

Po dłuższej chwili Wystraszek podniósł głowę i ostrożnie wychylił się spod paproci. W samą porę.

– Hurra! Hurra! – zawołała mała Magda, najgłośniej jak mogła. – Zwycięstwo! Hurra! Wystraszek pokonał Straszego Stwora! Hurra! Hurra! Niech żyje Wystraszek! – krzyczała pełna zapału, wykonując dziwny taniec na środku polanki.

I zaraz w Lesie zaroilo się od stworzeń małych i całkiem niedużych, i nawet tych jeszcze mniejszych. Bo najpierw wychylili się ze swych kryjówek ci najmniej si i chyba najbardziej przerażeni, ale też najbardziej

ciekawscy mieszkańcy Lasu. A zaraz za nimi ci trochę więksi. I całkiem duzi też. Każdy chciał usłyszeć na własne uszy sprawozdanie z ostatnich wydarzeń i na własne oczy przekonać się, że Straszego Stwora już nie ma. Gwarno i tłoczno zrobiło się na polanie.

– ...i Wystraszek powiedział: WYNOŚ SIĘ, Tłusty paluchu!, a Straszny Stwór tak się przestraszył, że aż się trząśł ze strachu... – opowiadała przejęta Magda, dumna, jakby to ona sama Straszego Stwora pokonała.

– A...a...ale... ale to nie tak – zaczął niepewnie Wystraszek.

– ...i Wystraszek mnie uratował! I Las uratował, i wszystkich przed Straszonym Stworem uratował – opowiadała Magda, zachwycona, że wszyscy jak nigdy dotąd słuchają jej z wielką uwagą.

– A...a...ale to przecież nie całkiem tak – podjął na nowo Wystraszek. – Straszny Stwór wcale nie...

Ale nikt nie słuchał Wystraszka, bo wszyscy słuchali o jego bohaterskich czynach. I spoglądali na niego z podziwem. I ci mali, i ci duzi. Proszę, taki mały, a Straszego Stwora pokonał. Kręcili głowami ze zdumieniem.

– Ten Wystraszek jest naprawdę odważny! Prawdziwy bohater z niego!

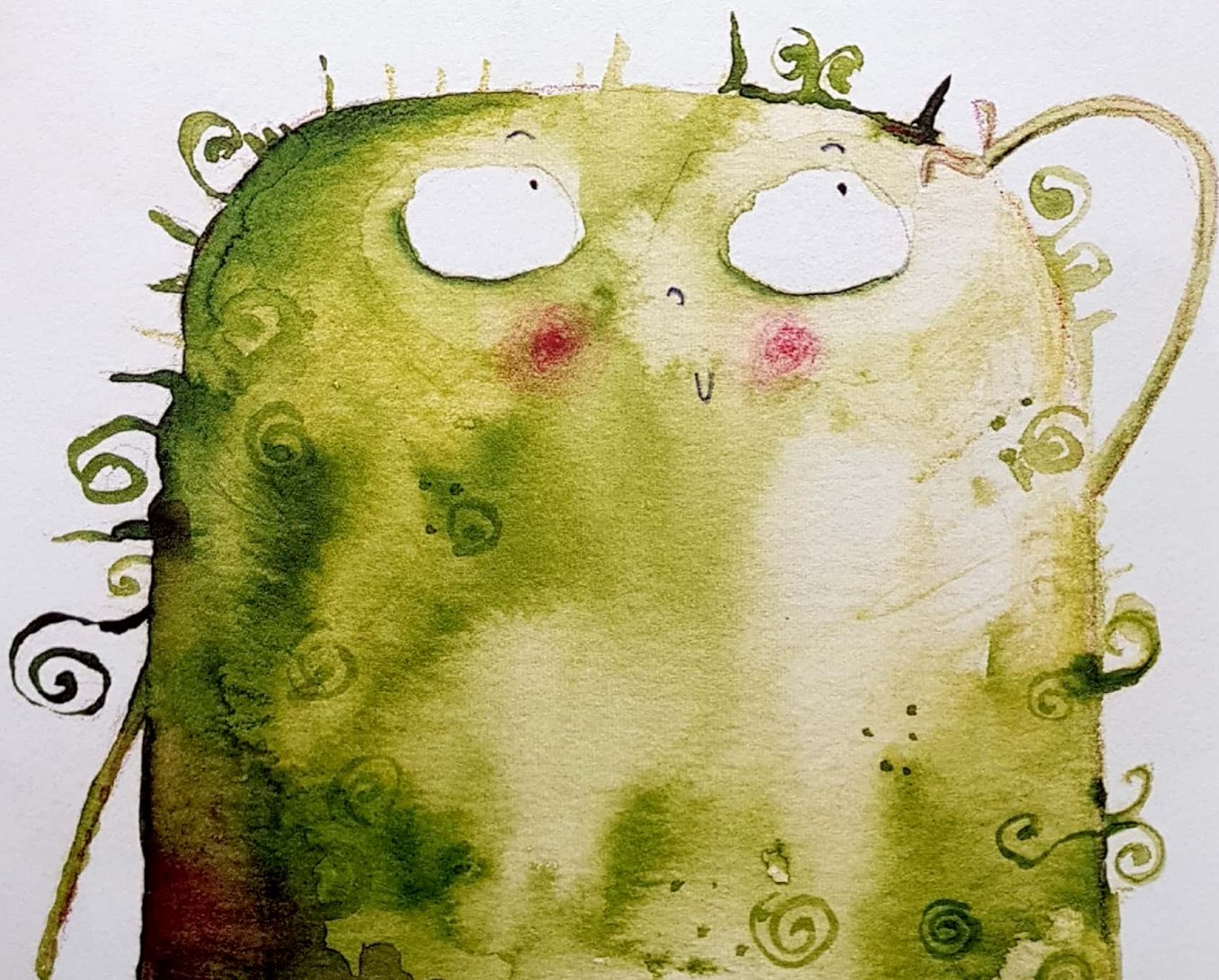
Tylko Jeże patrzyły koso. Ach, co za pech, że Straszny Stwór natrafił właśnie na Wystraszka. Co za szkoda,



że nie spotkał walecznych Jeży. Skoro Wystraszek poradził sobie ze Straszny Stworem, to Jeże pokonałyby go z łatwością. Na pewno! Może niepotrzebnie tak szybko ukryły się przed Straszny Stworem w stercie opadłych liści...

Wszyscy Wystraszka podziwiali i wszyscy gratulowali mu pokonania Straszny Stwora, ale dopiero borsuk Eustachy go wysłuchał.

– To wcale nie było tak, jak opowiada mała Magda – wyznał Wystraszek. – Straszny Stwór wcale się mnie nie bał. Śmiał się ze mnie... To ja się bałem – przyznał zawstydzony. – Aż się trząsałem ze strachu...



Eustachy słuchał uważnie. „Niełatwo być Wystraszkim – pomyślał. – Mały, zielony i na dodatek wszystkiego i wszystkich się boi”. Potem powiedział:

– Wystąpiłeś odważnie w obronie Magdy. Chociaż się bałeś. I NAPRAWDĘ ją uratowałeś. I pokonałeś Straszego Stwora. TY to zrobiłeś, nikt inny.

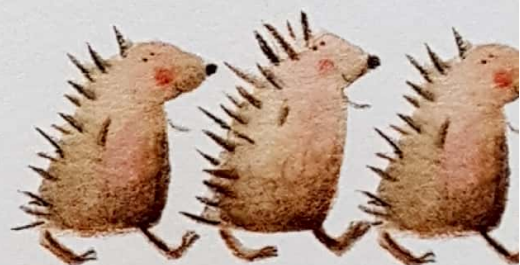
– Ojejku, to byłem aż taki odważny – zdziwił się Wystraszek. Może nawet trochę się przestraszył tej swojej odwagi.

Milczał przez chwilę.

– Jak ktoś jest odważny, **Naprawdę Odważny**, to czasem może się chyba czegoś przestraszyć? – zapytał niepewnie. – Albo nawet zatrząść się ze strachu? Jak myślisz?

– No, pewnie – powiedział Eustachy. – Sam się trząsałem tej nocy, gdy ni stąd, ni zowąd wyleciała na mnie zza drzewa sowa Agata...

I zgodnie zachichotali obaj: duży borsuk Eustachy i mały Wystraszek. Odważna para, nie ma co.



Nic w Ogrodzie

Nic przyszło do Ogrodu wieczorem i pewnie dlatego nikt tego nie zauważył. Rano z kolei wszyscy byli za bardzo zajęci przygotowaniami do nowego dnia, żeby rozglądać się wokół i wypatrywać nie wiadomo czego. Toteż Nic, nieniepokojone przez nikogo, siedziało pod krzakiem porzeczek i spoglądało badawczo i jednocześnie zaczepnie.

– Nie zauważyli... – zachichotało do siebie i poczuło się o wiele pewniej.

Koło dziesiątej mrówka Dorota, niosąca długie źdźbło trawy, przystanęła na chwilę, żeby odpocząć. Rozejrzała się zdziwiona:

– Zaraz, zaraz, czy tutaj nie powinno być kępy nasturcji? Zwykle była. Nic tu nie rośnie... hm...

Ale nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo praca czekała. Mrówka Dorota pobiegła dalej ze swoim ładunkiem. Nic tymczasem siedziało skromnie na miejscu nasturcji. Słyszając słowa Doroty, tylko rozciągnęło usta w szerokim uśmiechu.

Kret Marcin, którego małżonka wysłała po warzywa na rodzinny obiad, pracowicie przekopał tunel pod



warzywne grządki. Sięgnął pewnie po korzeń młodej marchwi, ale natrafił na pustkę. Stanął jak wryty. Jeszcze wczoraj była tu grządka dorodnej marchwi, a dziś – nic? Ani jednej marchewki? Nic nie ma? Jak to możliwe? Zastanawiał się przez chwilę. Nie chciał wracać z niczym i narażać się na wymówki Pani Kretowej. Założył ciemne okulary, bo nie lubił, gdy słońce go oślepiało, i ostrożnie wysunął pyszczek na powierzchnię, żeby zorientować się w sytuacji. Nic, jakby tylko na to czekało, plasnęło go z rozbawieniem w nos. Zachichotało radośnie. Potem wyrównało kopczyk ziemi, który pozostawił Marcin, i wygodnie rozsiadło się z powrotem na miejscu, gdzie kiedyś rosła marchew.

Mały jeżyk Jerzyk, szczęśliwy, że udało mu się wyrwać spod kurateli starszego rodzeństwa, penetrował zakamarki Ogrodu. Nareszcie na wolności. Bez ciągłych nakazów i zakazów: „Tego nie ruszaj! Tam nie zagląдай!”. Korzystając ze swobody, Jerzyk zaglądał wszędzie, gdzie się dało. Tam, gdzie się nie dało, też próbował.

W pewnej chwili przystanął zaniepokojony. Zmarszczył brwi: gdzie agrest? Był tutaj, był na pewno jeszcze dziś rano. Rodzeństwo przepytywało go z rachunków i kazało liczyć agrestowe kulki na gałązce. Więc agrest musiał być. Jerzyk bezradnie rozglądał się wokół.

Nic, rozpierające się niedbale na miejscu agrestu, łypnęło na niego złowrogo okiem i zachęcająco pokiwało zakrzywionym palcem w jego kierunku. Zdumiony Jerzyk wytrzeszczył oczy i przerażony rzucił się na oślep do ucieczki. Wpadł na Braci Ropuchów, znanych hazardzistów, którzy obstawiali właśnie wyścigi Ślimaków.

– Hej, mały, uważaj! – Bracia Ropuchowie aż podskoczyli, gdy język uderzył w nich z całą siłą swego małego, ale kolczastego ciała.

– Nie... nie... nie ma agrestu! – relacjonował roztrzęsiony Jerzyk, ledwo łapiąc oddech. – Nic nie ma! To znaczy jest Nic. Nie ma agrestu, ale jest Nic.

– Zaraz, zaraz – uspokajali Jerzyka Bracia Ropuchowie, którzy trochę pogubili się w jego relacji. Nie bardzo rozumieli: kto jest, a kogo nie ma.

– Wszystko po kolei – powiedzieli. – Opowiadaj, mały, po kolei.

Jerzyk wziął głębszy oddech. Trochę się uspokoił. I przyzwyczajony przez rodzeństwo do słuchania starszych, posłusznie zaczął:

– Nie ma agrestu. Był, a teraz go nie ma.

– Jak to nie ma? – zdziwili się Bracia Ropuchowie. Wczoraj sami byli pod agrestem. Grali w pchełki na pieniądze. – Jak nie ma agrestu, to co jest? – zapytali rozsądnie.

– Nic – odpowiedział Jerzyk. Po czym rozejrzał się ostrożnie dookoła i przyciszonym głosem dodał:
– Wielkie paskudne Nic.

Bracia Ropuchowie spoglądali na niego z niedowierzaniem. Pewnie się mały czegoś wystraszył i coś mu się pomyliło. Może był nie tam, gdzie trzeba. Ale postanowili sprawdzić na wszelki wypadek. Jak nikt w Ogrodzie znali każdą roślinę i każdy krzaczek, i żaden nowy, najmniejszy pęd nie uszedł ich uwagi. Teraz z każdym krokiem byli coraz bardziej niepewni i zakłopotani.



I tu czegoś brakuje, i tam. I tu coś powinno być, a nie ma. To nie ten sam Ogród. I na dodatek mały język miał rację. Agrestu też nie było. Bracia Ropuchowie mieli nietęgę miny.

A Nic siedzi sobie, jakby nigdy nic. Z każdą chwilą coraz bardziej bezczelne i pewne siebie. Tylko w kulał chichocze. Bo co mu mogą zrobić? Nic.

Bracia Ropuchowie w końcu nie wytrzymali. Siedzi to Nic w samym środku Ogrodu, nic sobie z nikogo nie robi i zachowuje się, jakby Ogród do niego należał. O, niedoczekanie! – rozsierzdzili się.

– To nasz Ogród – powiedzieli zaczepnie, gotowi do awantury. – Co tu robisz?


– Nic – odpowiedziało Nic niewinnie. – Zupełnie nic...

Bracia Ropuchowie odeszli jak niepyszni. Nie można go przepędzić za nic...

– I co teraz? – zastanawiali się Bracia, spoglądając na siebie niepewnie. Jakaś rozróżba, przepychanka, mała awanturka z żabami z pobliskiego rowu – to było w ich stylu. Ale Nic nie dało się sprowokować do bójki. Bracia nie mieli pomysłu, co dalej zrobić. W kłopotaniu spoglądali na siebie.

– Trzeba jakiejś mądrej głowy – stwierdzili w końcu jednomyślnie.

Szpak Stach zwykle wiedział, jak radzić sobie w różnych kłopotliwych sytuacjach. Nawet ze Strachem na



Wróble wdał się kiedyś w negocjacje i przekonał go do swoich racji. Odtąd zgodnie urzędowali w Ogrodzie. Szpak Stach na wiśni, Strach na Wróble pod nią.

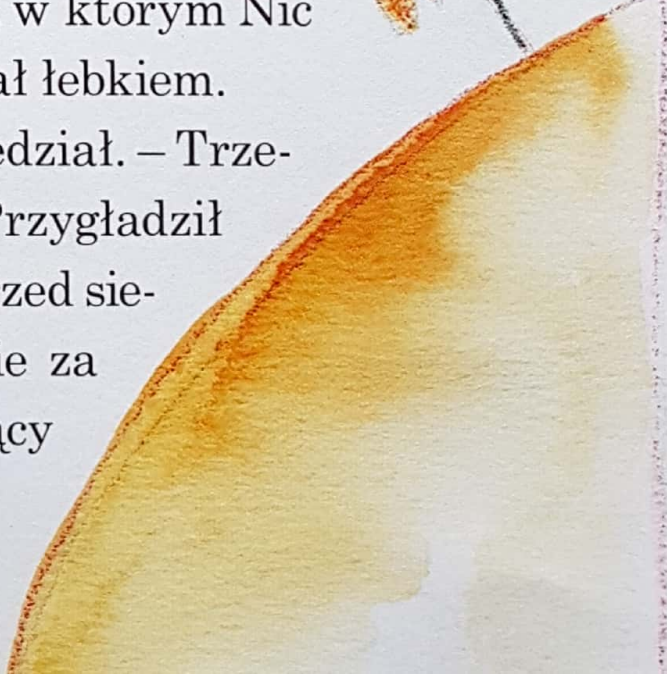


– Nic panoszy się w naszym Ogrodzie – przedstawili sprawę Bracia Ropuchowie. – Nie daje się przepędzić. Trzeba coś zrobić...

– Yhm... yhm... – Zamyślony Stach kiwał łebkiem.

– Trzeba coś zrobić – powtarzali rozgorączkowani Bracia. – I to szybko. Zanim więcej szkód wyrządzi. – Zasepili się, patrząc na spustoszenia w Ogrodzie, jakże Nic poczyniło.

Szpak Stach rozejrzał się wokoło i dziobek mu się wykrzywił, jakby zjadł wyjątkowo kwaśną, niedojrzałą wiśnię – tak mu się nie spodobał Ogród, w którym Nic gospodarowało. Pokiwał łebkiem.

– Macie rację – powiedział. – Trzeba **coś** z tym zrobić. – Przygładził piórka i rażno ruszył przed siebie. Bracia Ropuchowie za nim. Bacznie obserwujący





wszystko język Jerzyk nie odstępował ich nawet na krok, ciekaw, co będzie dalej. Co szpak Stach zrobi. Może choć agrest uda mu się odzyskać...



Nic bardzo z siebie zadowolone wygrzewało się w słońcu, w miejscu gdzie jeszcze dziś rano rósł okazały słonecznik. Szpak Stach przystanął, przekrzywił

łebek i z namysłem spojrzał na Nic.

– Nic nie umiesz zrobić – zagadnął. – Nic nie potrafisz.

Nic okiem tylko łypnęło i siedzi niewzruszone. Niby nie słucha, ale widać, że ucha nadstawia.



– Nic ci nie wychodzi – ciągnął szpak.
– Nic – powtórzył.

– Jak to nic? – nabzdyczyło się Nic i spoj-
rzało z góry na szpaka. – A to co? – Rozejrzało się
dokoła.

– Jedno wielkie NIC – orzekł dobitnie i z pogardą
Stach.

– No, właśnie. Nic. Takie piękne NIC – za-
chwycalo się Nic swoją robotą.

– Bo nic innego nie potrafisz – powiedział Stach.

– Nie potrafię? Nie potrafię? Ja nic nie potrafię? –
zaperzyło się Nic, wyraźnie wyprowadzone z równo-
wagi. – Nic innego nie robię, bo mi się nie chce – od-
parło z godnością.

– Akurat... To zrób Coś – zaproponował podstępnie
szpak Stach.

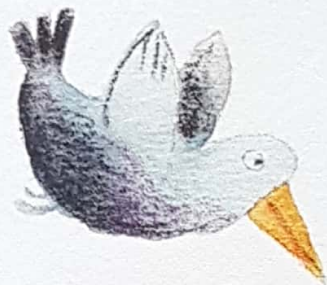
– Phi, dla mnie to nic wielkiego – odpowiedziało
Nic nonszalancko. – Ale co... – pyta po chwili, jakby
trochę niepewne.

– Coś... Cokolwiek – podpowiedział mało konkretnie
szpak Stach. – Co chcesz...

– No dobrze. – Nic łaskawie się zgodziło. – W końcu
nic mnie to nie kosztuje...

Nadęło się Nic, natężyło...





– I co? – pyta po chwili.
– I nic – odpowiedział szpak Stach.



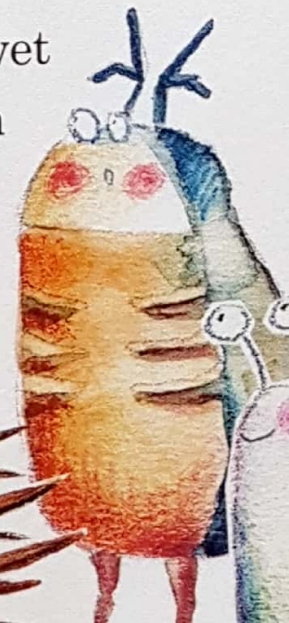
Zachmurzyło się Nic, brwi nastroszyło, czoło zmarszczyło i myśli posepnie. Znów się natężyło...

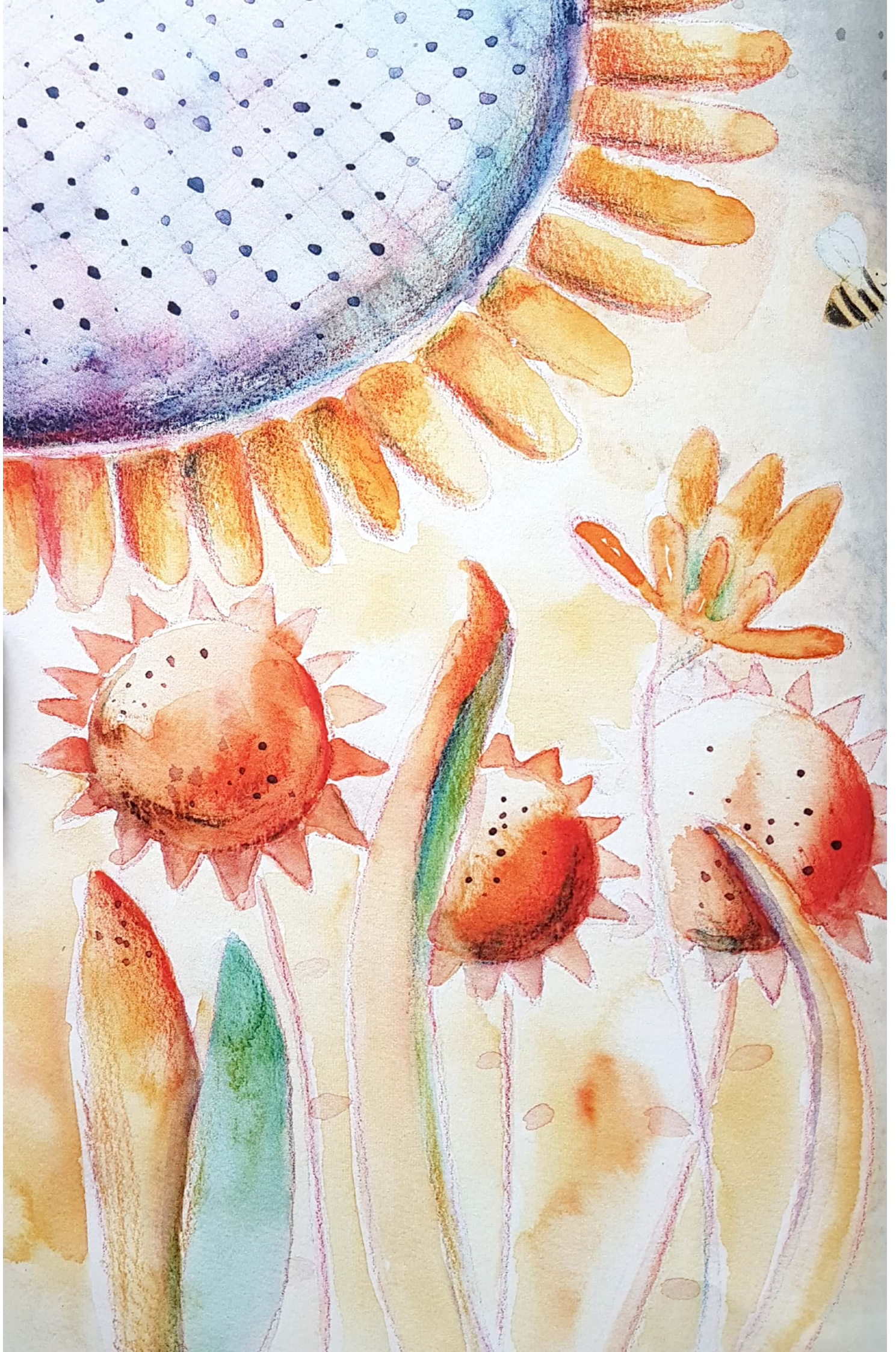
– I co? – pyta ponownie, jakby trochę niespokojne.

– Dalej nic – mówi Stach, jakby trochę weselszym tonem.

Nic pot z czoła ociera, wzdycha, ale się nie poddaje. Powietrza nabrało, wzrok skupiło. Znów się nadęło, ze wszystkich sił natężyło... Nawet uwagi nie zwraca na to, że coraz więcej mieszkańców Ogrodu zgromadziło się wokół i obserwuje ich z ciekawością. Już nie tylko Bracia Ropuchowie i jeżyk Jerzyk, ale i starsze Rodzeństwo Jerzyka, i Ślimaki, i pan Chrabąszcz, i kret Marcin, i nawet dwa Pająki – wszyscy patrzą z przejęciem, czy Nic poradzi sobie z zadaniem, czy może szpak Stach poradzi sobie z Nic.

A im bardziej się Nic natężało, im bardziej się starało, żeby zrobić Coś, cokolwiek choćby, tym bardziej pewność siebie traciło. Tym mniejsze się stawało i tym bardziej z sił opadało. Zachwiało się nawet w pewnym momencie, jakby zmęczyło się w tym





wysiłku przeogromnym, żeby Coś stworzyć. Ale ciągle jeszcze złe spojrzenia wokół ciskało. Widać było, że resztkami sił energię zbiera do jeszcze jednej próby.

– I co...? I co...? – ledwie wydyszało wyczerpane Nic słabiutkim głosem.

– Nadal nic – odpowiedział zgodny chór.


– Nic z tego nie będzie – stwierdził zdecydowanym tonem szpak Stach. – Nic nie potrafisz i tyle.

– Nic – potwierdzili chórem wszyscy.

I jakoś tak dziwnie zaczęli na Nic spoglądać. Bo każdy Coś potrafi – język Jerzyk dobrze liczy, Bracia Ropuchowie urządzają piękne awantury, kret Marcin kopie tunele, Pajaki przędą srebrne sieci – a tu, proszę, niby takie wielkie Nic, niby tak się nadyma, a nic nie umie. Niby tak się stara, a nic mu nie wychodzi.

Pod tymi spojrzeniami Nic ze wstydu coraz bardziej się kurczyło, kurczyło, aż takie małe w końcu się zrobiło, że wszystko to, co sobą przesłoniło, znów pojawiło się w Ogrodzie. I krzak agrestu, i pachnący groszek, i grządka dorodnej marchwi, i cztery główki sałaty, i kępa płomiennopomarańczowych nasturcji, i okazały słonecznik... I nawet ten kłujący oset, co nieproszony wyrósł koło furtki.

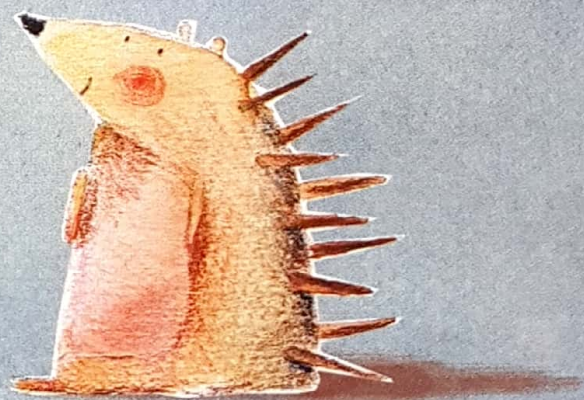
– Ach – odetchnęli z ulgą Bracia Ropuchowie, rozglądając się wokół i baczny spojrzeniem ogarniając odzyskany Ogród.



– Ach – westchnął szczęśliwy język Jerzyk, spoglądając na agrest. Na wszelki wypadek szybko przeliczył agrestowe kulki na najbliższej gałęzce. – Tyle, co trzeba – ucieszył się. – Nic nie brakuje.

– No, wreszcie zrobiliście tu porządek – powiedziała mrówka Dorota, przystając jak zwykle koło nasturcji na chwilę przerwy. – Wszystko jest jak trzeba, na swoim miejscu – stwierdziła z zadowoleniem. – Nie tak jak przedtem, kiedy nic nie było...

A małe, z sił wyzute i ze wstydu skurczone Nic szpak Stach zamknął w słoiku i mocno zakręcił zakrętkę. Lepiej mieć na nie oko...



Mikołaj, czyli historia pewnego bociana

Kiedy bocian Mikołaj oznajmił, że zakochał się w Izabelli, cała bociana rodzina odetchnęła z ulgą. Nareszcie! Mikołaj powinien był już poważnie pomyśleć o założeniu rodziny. Ale Mikołaj wciąż wybrzydzał. Kręcił dziobem na każdą bocianią pannę. Ta ma nogi za krótkie, ta znów krzywe. Ta ma dziób haczykowaty, ta z garbkciem. Ta szyję ma za mało wysmukłą, ta piórka nie dość białe. Martwiła się bociana Mama, że Mikołaj zostanie starym kawalerem. Dlatego wszyscy ucieszyli się, gdy Mikołaj powiedział o Izabelli. Ustalono, że Mikołaj przyprowadzi ją na niedzielny rodzinny obiad. Tej niedzieli cała rodzina stawiała się w komplecie. Wszyscy byli ciekawi, jaka też jest ta Izabella.

Gdy Mikołaj wprowadził swą wybrankę, rodzina zaniemówiła i zamarła w bezruchu. Mama Mikołaja pierwsza odzyskała mowę:



– Przecież to **żaba!** – wykrzyknęła zbulwersowana.

– Żabka – poprawił ją Mikołaj.

– Rzeczywiście – przytaknął stryj Józef. – To żabka, Maryniu. **Młodziutka, apetyczna żabka.** – Stryj Józef zaklekotał entuzjastycznie i z błyskiem w oku spojrzał na Izabellę.

Zabrzmiało to nieco dwuznacznie. Mikołaj na wszelki wypadek stanął bliżej Izabelli. Izabella świadoma, że cała rodzina Mikołaja uważnie ją obserwuje, wyciągnęła wdzięcznie szyję i zatrzepotała rzęsami. Stryj Mikołaj znów zaklekotał i przełknął ślinkę. Stanowczo zbyt głośno.

– Nie ma skrzydeł – wypomniała Izabelli istotny brak Mama Mikołaja. – Nie może latać!

To był poważny zarzut. Jednak Mikołaj zręcznie go odparował:

– Ale umie pływać!

– Nóżki ma krótkie – krytycznie zauważyła kuzynka Janka, wymownie spoglądając na swoje długie kończyny.

– Ale cztery! I jakie zgrabne. – Mikołaj wpatrywał się rozanielonym wzrokiem w Izabellę.

– Zielona... – zgorszył się kuzynek z Australii, który też stawił się na rodzinny obiad, zwabiony plotkami o bliskim weselu Mikołaja.

– Zielona – zgodził się Mikołaj i się rozpromienił.
– Śliczna!

Zdegustowany kuzynek spojrzał na Mikołaja z niesmakiem: „Jak szanujący się bocian może mieć zieloną żonę?”.

– No, a gdyby... a gdyby ktoś chciał ci ją zjeść... – Stryj Józef ściszył głos do szeptu.

– Wyzwę go na pojedynek – odparł bez zastanowienia odważny Mikołaj. – Będę walczył na szpady!

– Przed czy po? – zapytał stryj Józef. – Przed zjedzeniem Izabelli czy po? – zachichotał.

Stryj Józef słynął w rodzinie ze specyficznego poczucia humoru. Ale Mikołaja jego słowa wcale nie roz-



bawiły. Surowo spojrzał na stryja. Mama Mikołaja, chcąc uniknąć rodzinnej kłótni, wtrąciła się szybko do rozmowy:

– Co z obiadami, Mikołaju? A jeśli przez przypadek połkniesz jakiegoś jej kuzyna?

Mikołaj się zasepił. To był problem. O tym nie pomyślał. Przypomniwał sobie pyszne żabie udka, żabie łapki w sosie tatarakowym, młode żabki sauté – Mikołaj lubił kuchnię francuską – i wreszcie chrupiące, wiosenne żabki prosto z wody... Pyszności! Aż ślinka cieknie na samo wspomnienie. I nagle spojrzał na swą młodziutką narzeczoną. Wstyd mu się zrobiło. „Przećież to kanibalizm” – pomyślał wstrząśnięty. I podjął decyzję.



– **Zostanę jaroszem** – obwieścił łamiącym się głosem.

– Mikołaju! – zagrzemiał Ojciec.

– Mikołaju... – Ciotka Zofia była bliska omdlenia.

– Dziecko, zaszkodzisz sobie – załkała Mama Mikołaja. – Ideały ideałami, ale mężczyzna potrzebuje solidnego posiłku...

Mikołajowi łzy napłynęły do oczu, gdy uświadomił sobie, co traci, ale obstawał twardo przy swoim. Izabella była taka urocza. Już nigdy nie ośmieliliby się spojrzeć w jej czyste, niewinne oczy po zjedzeniu na przystawkę jakiegoś jej krewniaka.

Bociana rodzina zebrała się na naradę. Trzeba coś przedsięwziąć. Mikołaj jest taki uparty, że gotów popełnić to głupstwo...

– Zmarnuje sobie życie – zamartwiała się Mama Mikołaja.

– I jaki wstyd dla rodziny – rozpaczała ciotka Zofia.

– Cała okolica się od nas odwróci...

– Przejdzie mu – optymistycznie uspokajał stryj Józef. – Musi się chłopak wyszumieć. Za krótko go trzymacie, ot co! Więcej swobody, Maryniu – zwrócił się do Mamy Mikołaja. – Więcej swobody. Niech chłopak zakosztuje życia.



Na łące koło remizy co sobotę odbywały się dyskoteki. Zwykle Mikołaj musiał być w domu przed dziesiątą. Ale tym razem pozwolono mu wrócić o jedenastej.

– Baw się dobrze, Mikołaju – uśmiechnęła się Mama i wsunęła mu ukradkiem pod skrzydło trochę większe kieszonkowe. – Zaproś dziewczyny na kawę – dodała szeptem – i nie wracaj zbyt wcześnie, kochanie...



Na wszelki wypadek wysłano z Mikołajem kuzynka z Australii. Był towarzyski, ochoczy do zabawy i chętny do kosztowania życia w każdej postaci. „Powinien mieć dobry wpływ na Mikołaja” – zdecydował stryj Józef.

Ale Mikołaj wrócił do domu już przed dziewiątą. Sam. Zniechęcony jakiś. Markotny. Izabelli nie było na dyskotecę. Mikołaj specjalnie poszedł nad staw, ale Izabella musiała się przygotować do wieczornego żabięgo koncertu i była zajęta – chór miał próbę. Mikołaj postął trochę nad stawem, podumał i zawrócił. Zewsząd dobiegały go wieczorne odgłosy żabich pogwarek. Kiedy przechodził obok szuwarów, usłyszał jakieś głosy, najpewniej kuzynów Izabelli:

Kumie? – Kum.

Gdzieżeś? – Tum.

Chlupniesz? – Chlupnę!

Chlupnij! – Plum!

„Kum, kum, plum, plum” – ni to kumkał, ni to klekotał do siebie Mikołaj, wracając do domu. Swym nieudolnym kumkaniem wzbudził tylko popłoch wśród miejscowych świerszczy i zgorszenie napotkanych przypadkiem po drodze bocianich krewniaków. Kuzynka Wanda spojrzała przeciągle na Mikołaja, potem popatrzyła znacząco na swojego męża i wyszeptała:

– Słyszałeś? Więc to jednak prawda, co mówią o Mikołaju... Zadaje się z żabami! Z żabami! A z takiej porządnej rodziny chłopak...

Łąka aż huczała od plotek i domysłów. Żaba żabie kumkała, bocian bocianowi klekotał ostatnie nowiny. Uparty Mikołaj postawił na swoim. Nawet kuzynek z Australii nie pomógł. Ani rozsądne argumenty rodziny. Ani błagania ciotki Zofii. Rodzina musiała w końcu ustąpić.

Dumny i szczęśliwy Mikołaj pięknie prezentował się w wykrochmalonej, czarnej muszce w białe grochy. Panna młoda rzucała nieśmiałe spojrzenia spod białego welonu i zielonych rzęs. „Urocza – utwierdził się w swym wyborze Mikołaj. – Z dnia na dzień staje się piękniejsza. I tak cudownie kumka sopranem. Moja Izabella...”

Mama Mikołaja otarła ukradkiem łzę. „Tacy młodzi... żeby chociaż byli szczęśliwi...” Ojciec posepnie wpatrywał się w czubek swego dzioba. Ciotka Zofia wachlowała się, by ukryć rumieńce – nie wiadomo, czy z powodu upału, czy ze wzruszenia, czy może przewidując bliski wybuch skandalu, tak się nagle zapłonila.

Mikołaj uchylił dziobem woal Izabelli i ucałował swoją wybrankę. Ach... Taki miły, miły zapach... Nie mógł się oprzeć pokusie, bo wegetariańska dieta dawała mu się we znaki, i ucałował raz jeszcze zielone, pachnące sitowiem policzki panny młodej. Tak, stryj Józef miał





rację – Izabella jest **bardzo, bardzo apetyczna...** Aż mu w brzuchu zaburczało. Łza mu się w oku zakręciła, gdy pomyślał, że oto na zawsze żegna się z żabimi przysmakami, ale szybko odepchnął od siebie te niestosowne myśli.

Pochylił się ku Izabelli. Coś zamigotało w jej oczach. Ucałował ją znów... po raz trzeci... I nagle – rzecz nieprawdopodobna, ale najzupełniej prawdziwa! – żabka Izabella zmieniła się w piękną bocianią pannę! Oszłomiony Mikołaj ucałował ją ponownie – z takim zapalem, że nawet białe grochy na jego muszce poróżowiały, a cała rodzina spuściła dyskretnie oczy. Ciotka Zofia skryła się wstydliwie za wachlarzem. Tylko stryj Józef bezwstydnie wpatrywał się w całującą się parę:

– Zuch chłopak! Moja szkoła! A ta **bestyjka apetyczna... apetyczna** – zaklekotał z uznaniem.

I jedynie kuzynek z Australii wydawał się rozczarowany takim obrotem sprawy. Zdegustowany wpatrywał się w olśniewające białą skrzydła oblubienicy Mikołaja. To powinna być królewna! Każdy to wie! Pocałowana żaba zmienia się w królewnę. Tak jest we wszystkich bajkach! Zawiedziony kuzynek poprzysiągł uroczyście, że nigdy w życiu nie pocałuje żaby. Nawet nie tknie żadnej dziobem! I na dodatek przestał wierzyć w bajki.

A Mikołaj z piękną Izabellą żyli długo i dostatnio. Bo na szczęście dla bocianiej rodziny – niestety dla miejscowych żab – Mikołaj nie został jarozsem. Ale pozostał mu sentyment do wieczornych żabich koncertów. A szczególnie do żabich sopranów.

Morał z tego zaś jest taki:

Nie całujcie żab, chłopaki!





Spis treści

Kapelusz Pani Wrony ... 5

Wystraszek ... 25

Nic w ogrodzie ... 40

Mikołaj, czyli historia
pewnego bociana ... 53





W lesie, w ogrodzie i na łące niekiedy mają miejsce niezwykle zdarzenia. Na przykład w tajemniczych okolicznościach znika słynny Kapelusz Pani Wrony i trzeba zatrudnić prawdziwego detektywa, by przeprowadził dochodzenie. Bojaźliwy Wystraszek, ukryty zwykle pod liściem paproci, nieoczekiwanie dokonuje bohaterskiego czynu i wszyscy patrzą na niego z podziwem. Młody bocian Mikołaj zakochuje się w pięknej żabce Izabelli, a w ogrodzie pewnego poranka pojawia się Nic...

*Książka znalazła się na liście lektur dla klas I-III
w nowej podstawie programowej.*

www.wydawnictwobis.com.pl

ISBN 978-83-7551-530-5



9 788375 515305